Rok III.

Nr. 6. Nr. 6.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Ogłoszenia po 1½ sgr od drobnego wiersza.

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

Poznań dnia 8 lutego 1873.

Ul. Fryderykowska Nr. 27.

O poezji polskiéj XIXgo wieku

napisał

Dr. Adam Bełcikowski.

(Ciąg dalszy.)

Przepowiednia zbawienia Polski przez jednego człowieka, zjawienie się dla niéj jakiegoś nowego Messjasza, mogłoby również być teorją w swoich skutkach nader szkodliwą. Zbawienie w ten sposób otrzymane byłoby cudem, łaską Opatrzności, na nią więc możnaby się zdać zupełnie, i nie potrzebaby do tego własnéj pracy i zasługi. A jednak historja nie potwierdza wszechmocności podobnych opatrznościowych ludzi. Wielcy mężowie, co wiedli narody, znajdowali społeczeństwa przygotowane do spełnienia wielkich dzieł i czynów. Cezar znalazł jeszcze resztki owéj virtus romana, téj obywatelskiéj dzielności, któréj sam padł ofiarą, umierając z ręki republikanów; Napoleon w swojéj epoce nie stał sam jeden, tylu innych wielkich ludzi oprócz niego wydała rewolucja, chociaż ich także pochłaniała. Cała rewolucja pracowała dla niego, jéj idee były natchnieniem francuzkiego narodu; Napoleon nadał tym ideom kierunek, używał ich za środki i narzędzia, i upadł, kiedy porzucił tę podstawę swego działania, na któréj założenie składały się siły całego pokolenia.

Najszczytniejszą w messjanizmie, największą jest bezwątpienia ta idea humanitarna, którą jest na wskroś przesiąkły. Poeta ciągle o tém pamięta i ciągle to przypomina, że Polska pracowała na polu dziejów nietylko dla siebie, że cierpi nietylko za siebie, zmartwychwstanie nietylko sama, lecz i innych uwolni z letargu niewoli. Wszędzie jéj przeznaczeniem, powołaniem, celem wskazanym przez poetę, czyli raczéj dojrzanym przez niego w jéj historji, jest dobro ludzkości. Ze szczuplejszego obrębu patrjotyzmu przenosi on umysły w rozległą sferę człowieczeństwa. Nie przewaga jednego narodu nad drugim, nie zwycięztwa nad innymi, nie samolubne zamknięcie się w sobie jest jego i Polski ideałem, ale braterstwo ludów i dobro ich wspólne. Jest to najwyższy cel, jaki sobie może założyć historja. Myśliciele i poeci domyślają go się, przeczuwają go w przyszłości. Niemałą więc zasługą Mickiewicza, że był jednym z pierwszych apostołów podobnéj idei. Wszczepiał on narodowi myśli, które podnosiły go na wysoki stopień prawdziwéj cywilizacji, prowadziły go do ideału doskonałości ludzkiéj.

Pan Tadeusz jest ostatnim utworem poetycznym Mickiewicza. Dzieło to osobliwsze między płodami poety. Nie rzuca idei w teraźniejszość, nie przynosi poglądów ani teorji politycznych; z tendencjami dnia, z potrzebami chwilowemi nie ma nic wspólnego — jest w całém tego słowa znaczeniu objektywną poezją tego, dotychczas tak bardzo subjektywnego, poety. Pan Tadeusz jednak wypłynął także z gorącéj miłości ojczyzny, stworzyła go ta tęsknota, o któréj poeta mówi:

Litwo! ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie!
Ile cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto cię stracił. Dziś piękność twą w całéj ozdobie
Widzę i opisuję, bo tęsknię po tobie!

Oblicze poety zwrócone w przeszłość z miłością patrzy w zwyczaje i obyczaje ojców, słusznie też na-

zwano Pana Tadeusza szlachecką epopeją. Czém Homer był dla całéj Grecji, tém jest Mickiewicz w Tadeuszu dla szlachty polskiéj. Jak na Homerze wyrosła cała cywilizacja i historja grecka, jak za jego pośrednictwem utrzymywała się tradycja i związek między zamierzchłemi i młodszemi czasy, tak kiedyś Pan Tadeusz stanie się zapewne podobną Iljadą. Gdy resztki przeszłości znikną, gdy żywe wspomnienia zamrą, wówczas w tym poemacie, jakby zabalsamowany, przechowa się charakter narodu, i z tego poematu kiedyś przyszłe pokolenia będą się uczyć i poznawać te obyczaje narodowe, które powszechna cywilizacja coraz więcéj ze świata usuwa.

VI.

Odtąd twórczość poetyczna wygasła prawie zupełnie w Mickiewiczu Zabiły ją zapewne kłopoty domowego życia, zajęcia profesorskie, a najwięcéj religijno-polityczna mistyka. Poeta wkrótce stał się jednym z najgorętszych zwolenników nauki Towiańskiego. Czém był, czyli raczéj czém jest towianizm, bo jego echa dotąd się jeszcze odzywają, nie jest do téj chwili dostatecznie wiadomém. To jednak można za prawdę uważać, że właściwym jego twórcą był Mickiewicz. Idee messjaniczne stanowią grunt towianizmu, i one to z ust Towiańskiego powróciły znowu do Mickiewicza, a w ich abstrakcyjnych sferach rozpłynęła się jego poezja, dotarłszy do swéj ostatecznéj granicy w trzeciéj części Dziadów.

Przy końcu jego zawodu powtórzyć możemy to, o czém wspomnieliśmy już dawniéj: Mickiewicz jest twórcą całéj epoki, najsilniejszym jéj duchem i najpłodniejszym w idee. Przekonamy się o tém nawet po jego najbliższych następcach.

Może przeciw porządkowi chronologicznemu będę najprzód mówił o Krasińskim, bo poezja jego jest dalszym ciągiem Mickiewiczowskiéj, bezpośredniém jéj następstwem. Ale nie można powiedzieć, aby Krasiński daléj ją poprowadził, aby nowe wlał w nią idee — on rozszerzył je tylko, rozpostarł po obszerniejszéj przestrzeni.

Ostatni kraniec Mickiewicza jest dla niego punktem wyjścia, a zarazem osią, około któréj obraca się ciągle genjusz poety i jego kreacje.

Z wyjątkiem dwóch: Agaj-Hana i Nocy letniéj wszystkie utwory Krasińskiego są poematami politycznemi, kwestje narodowe lub socjalne są ich tematem, odgrywają się one na tle historji obecnéj lub minionéj, ale zawsze w zastosowaniu do teraźniejszości.

Mając do czynienia z podobnym poetą, dobrze jest nakreślić sobie naprzód jego ogólny pogląd na historję. Jest on w najkrótszéj treści taki: ludzkość przeszła już dwie doby swego życia, pierwszą pogańską, w któréj tęskniła za prawdą i pracowała nad wcieleniem w siebie Ducha bożego; drugą chrześcijańską, w któréj ludzkość przez objawienie otrzymała słowo boże, ale przyjęła je za podstawę swego bytu tylko w połowie, bo jedynie w stosunkach osobistych i rodzinnych, na ewangelji utworzyła się jedynie moralność prywatna. Trzecia więc doba jest teraz konieczną i nadejdzie, doba Ducha świętego, w któréj słowo boże stanie się czynem, przejdzie w stosunki międzynarodowe, kiedy miłość, ta główna zasada ewangelji, stanie się także zasadą polityczną, tak jak dotychczas była jedynie podwaliną moralności prywatnéj. W ten trzeci okres kiedy ludzkość wejdzie, następstwem tego musi być wskrzeszenie Polski Gwałt popełniony na Polsce przyczynić się ma do sprowadzenia téj trzeciéj doby, bo jako krzycząca niesprawiedliwość wzbudzi on sumienie europejskich narodów. W tym trzecim także okresie rolę przewodników ludzkości obejmie Sławiańszczyzna, a na jéj czele Polska, jako naród, który przez cały czas swego istnienia rządził się zasadą ewangeliczną miłości, bo nie był państwem zaborczém ani despotyczném, bo kwitła w niém wolność.

W takim stanie rzeczy zadaniem Polski jest w obecnym czasie utrzymywać w sobie swój charakter narodowy i tego ducha, którym żyła w ciągu swych dziejów w przeszłości, ponieważ on właśnie ma się kiedyś rozszerzyć na całą Europę i świat wybawić.

Jak widzimy, jest w tym poglądzie po części historjozofja Szellinga i cały messjanizm Mickiewicza. Dla téj idei szukał poeta form rozmaitych, i we wszystkich jego utworach ona się powtarza.

Spotykamy się z nią najprzód w Niedokończonym poemacie, wydanym najpóźniéj, już po śmierci poety, ale który uważać należy za pierwszą część Nieboskiéj komedji. Tłem tego utworu jest poetyczna historjozofja aż do najnowszych czasów. Mamy tu ową dobę pierwszą, w któréj ludzkość pracuje i mozoli się nad wydobyciem ze siebie wiekuistéj prawdy; kapłani haldejscy i egipscy zarówno jak Platon wzdychają do niéj, pragną ją ujrzeć i przeczuwają jak w półsenném marzeniu. Z przyjściem Chrystusa ta prawda się objawia, a przez drugą dobę ciągną się trudy i krwawe prace nad wcieleniem téj prawdy i urzeczywistnieniem, nad przemienieniem słowa w czyn i życie. Pracują nad tém Albigensowie, Templarjusze, Różokrzyżowcy, Wolni mularze — sekty i stowarzyszenia potępiane i niszczone, nieraz ogniem i mieczem, przez istniejące władze świecką i duchowną, przez tych, co rządzą światem niezgodnie z myślą i słowem Chrystusa. Przez obie więc te doby ludzkość wśród potu i krwi prze się do swego ideału — napróżno. Osięgnąć może go dopiéro kiedyś w przyszłości. Tym sposobem poeta doszedł aż do chwili obecnéj. Stan teraźniejszy, jak go widzi i kreśli, nie wygląda jednak na zapowiednię bliskiego szczęścia. Ludzkości daleko jeszcze do nieba; po części zagrzęzła ona w piekle, po części cierpi w czyścu. Ustęp p. t. „Sen“ daje nam obraz tego stanu obecnego. Piekłem jest tutaj wszystko, co ma początek z podłości: wszelka zatém niesprawiedliwość, ucisk i niewola, których doznają ludy i pewne stany. Na to piekło skazane są ciemne tłumy ludu brane do wojska i mordujące się na rozkaz, bez wiedzy za co i po co; proletarjat, który w nędzy zabija się, truje po fabrykach i warsztatach, bogacących kapitalistów; daléj kobiéta, któréj ustawy krajowe i stosunki towarzyskie nie postawiły na równi z mężczyzną, kobiéta ceniona podług wartości swego ciała — nie duszy. Piekłem jest wreszcie giełda i pieniądz, które pochłaniają wszystkie siły duchowe człowieka i czynią go sługą materji. Czyścem znowu ziemskim nazywa poeta te cierpienia i nieszczęścia, na jakie pewna część ludzkości jest skazaną z tego właśnie powodu, że za prądem ogólnym świata iść nie chciała, że nie służyła despotyzmowi, ani materjalizmowi. Tą częścią ludzkości jest mianowicie naród polski.

Z tego stanu, w jakim się świat znajduje, wyjść jednakże musi, jeżeli królestwo boże ma istnieć na ziemi. Pierwszym jego krokiem na téj drodze do góry co być musi? Usunięcie niesprawiedliwości jednych a cierpień drugich. Świat dotąd składa się z tyranów i z ofiar, z ciemiężców i ciemiężonych; chodzi o to, ażeby wszyscy przemienili się w ludzi wolnych i szczęśliwych. Zagadnienie trudne zaiste do rozwiązania, nasuwające się przecież mimowoli jako najwyższy ideał każdemu szlachetnemu umysłowi.

W podziemiach weneckich, w ostatniéj scenie poematu, zbierają się chóry narodów pragnących wolności. Prezes tego zgromadzenia przyjmuje młodzieńca, bohatera poematu, do tego tajemniczego związku i odkrywa mu sposób, w jaki świat dojść może do szczęścia i wolności po wiekowych walkach ludów i stanów. Tą drogą jest miłość ewangeliczna. Przeciw tym zasadom od-

zywa się głos naczelnika chóru polskiego Pankracego — nauki prezesa uważa on za ideologję, za fantastyczne marzenia, „które kiedyś się dopełnią, ale przed których urzeczywistnieniem Sławiańszczyzna cała i Polska cała muszą wyglądać jako jedno morze krwi.“ Nie przez miłość i przebaczenie ma się dokonać metamorfoza świata, lecz przez zemstę i zniszczenie. To co było przeciwném dotąd dobru, postępowi i szczęściu ludzkiemu ma zginąć, być wyniszczone mieczem i sztyletem. Wystąpienie Pankracego rodzi niezgodę w chórach narodów; ci ludzie zarówno dążący do jednego celu, do wolności, dzielą się na stronnictwa; w łonie tych wojowników wolności narodowéj powstaje walka wewnętrzna, socjalna, pod godłami arystokracji i demokracji.

Losom téj walki poświęcony jest drugi poemat: Nieboska komedja. Młodzieniec dorósł tutaj w męża i stanął na czele arystokratów, Pankracy dowodzi demokracją. Oba obozy przedstawione w ohydném świetle, tak, że nie ma między niemi wyboru — jeden wart drugiego. Demokraci są nieludzcy, okrutni, mordercy i materjaliści pragnący używać; arystokraci podli, nikczemni, ludzie małego serca i ciasnego umysłu. Mąż (hrabia Henryk) nie wierzy w zasady swego stronnictwa, czuje pogardę dla niego, ale walczy do ostatniego dla dochowania wiary przeszłości, dla dumy rodowéj i przez nienawiść przeciwników. Pankracy działa wszystko w złéj wierze; tych, dla dobra których niby się poświęca, używa za narzędzia swego egoizmu i dumy, niszczy i wywraca dla nasycenia pragnienia krwi i zemsty. Cały poemat, w tak rozpaczliwych kolorach przedstawiający stan społeczeństwa, robi dla tego ujemne wrażenie. Nie ma w niém nic dodatniego, nigdzie prawdy. Hrabia Henryk ginie samobójstwem, zwyciężony przez demokratów, Pankracy w pierwszéj chwili tryumfu upada bez duszy rażony jakby ramieniem bożém. Zjawia się wreszcie prawda w postaci Chrystusowego krzyża, objawiającego się w téj chwili Pankracemu; umiera on wołając: Galilaee vicisti! — to jest przyznając fałsz swoich zasad i dążności, a prawdę tym, którzy w miłości widzieli jedyne zbawienie świata.

Pomimo tego rozwiązania łatwo zgodzić się z Mickiewiczem, który o Nieboskiéj komedji powiedział: „poemat ten jest niczém więcéj tylko jękiem człowieka genjalnego, który widzi cały ogrom, całą trudność zadań społeczeńskich, a nie wzniósł się jeszcze dość wysoko, aby mógł dojrzeć ich rozwiązanie.“ Nie wzniósł się zaś może dla tego, że zbyt widoczny bierze współudział w téj walce, że historyczny jego pogląd i poetyczne natchnienie krępowała pewnego rodzaju namiętność. Nie patrzył bezstronném i nieuprzedzoném okiem w te sprawy, dla tego nie podniósł się do wysokości sędziego i pojednawcy. Byłoby także pytaniem, czy ten poemat jest tak bardzo narodowym, czy raczéj nie ma na sobie kosmopolitycznéj barwy. Przynajmniéj walki społeczne nie dochodziły nigdy do tych rozmiarów w Polsce, w jakich przedstawia je Nieboska komedja. Na emigracji pod owe czasy byli wprawdzie arystokraci i demokraci, ale ich spory i kwasy nie miały tak groźnéj postaci, nie były najważniejszą kwestją dla narodu. Dla tego rysy, jakiemi poeta skreślił tę walkę, można znaleść prędzéj w rewolucji francuzkiéj, w komunie paryzkiéj 1871 r., niźli w społeczeństwie polskiém.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

TRZY MIESIĄCE.

Ze znalezionego rękopismu

wydał

Józef Narzymski.

(Ciąg dalszy.)

Twarz moja musiała ten żal wyrażać, bo Marja podniosłszy oczy, zatrzymała je na mnie ze zdziwieniem, które w téj chwili zmieniło się w wyraz smutku i współczucia.

— Izia — rzekła — pisała, żeś pan cierpiący i smutny... poleciła mi leczyć pana... Wprawdzie ona wié, jak ja szczęśliwą jestem mogąc komuś wrócić uśmiech i spokój... ale tu zadanie zbyt trudne... Rany serca ten tylko wyleczyć może, kto je zadał... lub czas...

— Izie przywidziało się moje cierpienie... wszak widzi pani jak wesoły jestem...

— Oh! nie zwiedziesz mnie pan!... My kobiéty przeczuwamy gdy kto koło nas cierpi... choćby to najdoskonaléj ukrywał... Pewna instynktowa sympatja ciągnie nas tam, gdzie potrzeba dłoni przyjaznéj i słowa współczucia... Więc i pańska wesołość chwilowa nie zwiodła mnie... Ożywiłeś się tylko na chwilę... udawałeś przez grzeczność zapewne... zapomniałeś... bo przy takiém słońcu, wśród zieleni i szczebiotu ptaków, nie można być smutnym...

— Ale zkąd pani wnosisz, że miłość nieszczęśliwa jest powodem méj choroby moralnéj, jeżeli chory jestem?...

— Bo w pańskim wieku i położeniu innych nieszczęść być nie może...

— A jednak, ja pani daję słowo, że objawy, które tak zaniepokoiły Izę, którémi i pani interesować się raczysz przez przyjaźń dla niéj, nie mają źródła w sercu... Gdy Iza list swój pisała, nie kochałem...

To nie kochałem było dosyć wyraźne i sam się go przestraszyłem trochę...

Jakoż Marja spojrzała mi w oczy jakby zdziwiona i niedowierzająca... Znać oczy te mówiły więcéj jeszcze, bo natychmiast swoje spuściła i lekki rumieniec wystąpił na jéj lica i czoło...

— Ale jeżeli tak jest, to nie rozumiem...

— Nie sil się pani... troskliwość matki i Izy zwiększyły znaczenie chwilowego rozdrażnienia... Skorzystałem na tém, bom został pacjentem lekarki, która uzdrowić zdolna wszystko... co uzdrowić można...

— Wstydź się pan — rzekła pół żartem pół serjo podnosząc się — ja z panem mówię jak z bratem mojéj ukochanéj Izi, a pan mi zużytemi komplementami odpowiadasz... Szczerość, to pierwszy warunek przyjaźni... Chodźmy do domu... czas na kawę...

Słowa te mnie zabolały... Czułem sam, że te frazesa o lekarce mogły być na miejscu w salonie, ale Marję musiały razić pospolitością... Nie odpowiedziałem nic i szedłem smutny i milczący obok niéj... Zdaje mi się, że parę razy spojrzała na mnie z boku. Nie daleko już od domu zatrzymała się i pokazując mi kląb tulipanów, rzekła szybko, jakby chcąc prędko wypowiedzieć myśl swoją:

— Patrz pan, jutro lub pojutrze tulipany te rozkwitną... są między niemi prześliczne i rzadkie, bo dziadzio jak Holender kocha się w tych kwiatach... warto je zobaczyć...

Intencja była wyraźna, a sam ambaras przy wypowiedzeniu pełen uroku... Miałem wielką ochotę ucałować dłoń jéj pokazującą mi tulipany, ale brakło odwagi. Dziwna rzecz, jak człowiek się nieśmiałym staje gdy kocha... Słów te kilka rozwiało chmurę i smutek... Byłem znów wesół i najsumienniéj grałem z proboszczem i panem Strusiem w wista cały wieczór, puszczając bąk za bąkiem, bo myśl moja a często oko goniły za nalewającą herbatę i kręcącą się po pokoju Marją...

— Kocham cię Karolku — powtarzał staruszek — ale w wista nie grywaj, bo Dębowo przegrasz...

— Istotnie... istotnie... dodawał proboszcz.

Obaj jednak byli kontenci, bo wygrali po parę złotych. Żegnając, odważyłem się podać jéj rękę... Leciuchne uściśnięcie przekonało mnie, że się nie obraziła. Dotąd otacza mnie jeszcze jéj urok... widziałem ją wracając w cieniach gwiaździstéj nocy, widzę ją tutaj... Nie! nigdy nie doznawałem tego, co teraz...

Dębowo 2 maja.

Odczytując to, com napisał wczoraj, i przypominając sobie dzień wczorajszy, dziwię się własnéj zarozumiałości... Sądzićby można, że Marja jest na drodze zakochania się we mnie... Kto wié, czy sam wczoraj tak nie myślałem... wstyd mi... Nic gorszego jak śmieszność, a to co Francuzi nazywają fat jest najśmieszniejszą na świecie istotą.

Dziś chłodniéj zastanawiając się nad rzeczą, widzę właśnie, że jéj obejście ze mną, wyklucza wszelką myśl czulszego uczucia... Taka swobodna, taka szczera i naturalna, jakby nie przypuszczała nawet, że między mną i nią może inny stosunek istnieć jak prostéj przyjaźni... Co gorzéj, ona się lituje nademną!... Litość i miłość... jedno wyłącza drugie... Kobiéta kocha tylko wtedy gdy admiruje, gdy czuje siłę i wyższość, gdy wié, że na ukochanym jak bluszcz koło dębu oprzeć się będzie mogła... A ona lituje się... i ma mnie za chore dziecko, które wyleczyć trzeba!... Przyznam się, że Iza wcale mi wielkiéj przysługi swym listem nie wyrządziła...

Wszystkie jéj nawet serdeczne zwroty, które wczoraj brałem za objawy rodzącego się uczucia, były tylko wyrazem... litości...

Ha!... może to lepiéj... a raczéj lepiéj z pewnością!... Mogęż ja nawet pragnąć jéj wzajemności?... A potém co?... A jednak mój Boże... być kochanym przez nią!... Na jednę chwilę przycisnąć ją do piersi... serce jéj czuć przy swojém sercu... słyszeć z jéj ust karminowych cichy szept miłosny i widzieć te oczy błyszczące a zamglone uniesieniem... jednę godzinę przemarzyć przy jéj nogach... jeden dzień przeżyć w tym raju, który jéj miłość stworzyćby potrafiła!... Potém umrzeć... choćby w torturach!... Ale umrzeć nie doznawszy tego... skończyć nie zakosztowawszy szczęścia ..

Czyż ja jeden na świecie całym mam być pozbawiony tego wrażenia, którego doznaje kwiatek gdy go promień słońca pieści, do którego mają prawo wszelkie istoty stworzenia....

Mamże zejść w tę zagadkową otchłań nicości czy nowego życia, nie będąc szczęśliwym, nie żyjąc ani chwili...

(Tu znać Karol przerwał pisanie, bo następujący ustęp pisany spokojniejszym charakterem. Przyp. Wydawcy).

Ale nie!... Nie dla skazańca rozkosze takie!... Chcieć zdobyć to serce, chcieć tę duszę czystą i anielską opanować, byłoby zbrodnią z méj strony. Istotę pełną życia związać z człowiekiem na śmierć skazanym, stworzonéj do szczęścia kazać pokochać upiora... którego pamięć zatrułaby jéj życie całe!... nie!... to się nie godzi!....

Nie pojadę jutro oglądać tulipanów... nie... tylem zniósł, zniosę i resztę... Wszak to już sześć tygodni niecałych.[1] Wyrzeknę się jéj widoku.... To jest... będę ją widywał rzadko... od czasu do czasu... Czegóż mi więcéj potrzeba?... Wszak i tak więcéj szczęścia niż marzyć mogłem... Dobry mój genjusz przyprowadził mnie tutaj i oto... na schyłku życia... kocham prawdziwie...

Tak!... cokolwiek mnie to kosztować będzie... unikać jéj będę...

Dębowo 3 maja.

Co ona teraz robi?... Czy pamięta o tém, że mnie zaprosiła prawie?... Jaka ona dobra! .. Obraziłem ją... W altanie, sam na sam, zacząłem prawić komplementa, jak pierwszéj lepszéj kokietce... Ale spostrzegłszy, że mnie słowa jéj zmartwiły, przebaczyła natychmiast... żal się jéj zrobiło...

W obejściu jéj ze mną, z początku zwłaszcza, było coś braterskiego, macierzyńskiego prawie... ta rozmowa o pensji, te rozprawy o kwiatach, to pokazywanie mi czysto naszego, pełnego spokoju i uśmiechów krajobrazu, to wszystko były wysilenia anielskiego serca. Wzięła wiosnę i zieleń i błękit za pomocników, i sama się wśród nich ukryła, wiedząc, że nic tak ran duszy i serca nie leczy, jak głos przyjaźni wśród pięknéj przyrody...

Właśnie w téj chwili mogłem być przy niéj, widzieć ją, mówić z nią... Dziwna!... jedno nieszczęście pociąga za sobą cały szereg innych... gdyby nie 12 czerwca, jakże rozkoszne mógłbym stworzyć sobie życie!...

Oh! tak!... od trzech dni czuję się innym!... Nie pojmuję jak mogłem znieść tryb życia dotychczasowy!... Co za pustki!... jaka czczość!... Z wizyty na wizytę... z salonu do salonu... zawsze z ludźmi, których się ani szanuje, ani lubi!... Gdzie tu treść?... jaki cel?...

A dla czego tak było?... Bo byłem sam, a człowiek sam jest niezupełnym człowiekiem... Kobiéta dopiéro, żona, domowy kącik i myślenie we dwoje dopełnia nas...

Żyć z nią w Dębowie!... Dziś w nocy pół-senny ale przytomny snułem jeden po drugim przecudne obrazy tego życia, widziałem każdą jego chwilę... Boże mój! jakiżby to raj był!... Nie ma nic piękniejszego jak pożycie dwojga kochających się ludzi... Jest to życie zdwojone... i musi być płodném...

Ale precz te marzenia!... nie dla mnie one!... Ha! ten Wirski!... Co za pomysł piekielny!...

Dębowo 5 maja.

Wczoraj przyjechał Struś stary dowiedzieć się, dla czego nie byłem u nich onegdaj!... Czyżby go ona wyprawiła... Tłomaczyłem się zajęciami... Staruszek mnie bardzo lubi i oczywiście chciałby mnie mieć za wnuka... Ciągle mi o Marji mówił, a mówił z młodocianym zapałem, prawie ze łzami w oczach. . Powiada, że z nią razem nowe życie wstąpiło do Słomnik... wierzę... Dowiedziałem się, że Marja maluje bardzo ładnie... Lubię, gdy kobiéta ma coś do talentu podobnego, nie dla tego, żebym chciał w niéj koniecznie znaleść twórcę, ale że to dowodzi poczucia piękna...

Stary wydobył na mnie przyrzeczenie, że najdaléj jutro będę. Oh! gdybyż on wiedział, jak pragnąłem być dziś, wczoraj, onegdaj... codzień... I co prawda, kto wié, czy za surowym dla siebie nie jestem, a raczéj zbyt zarozumiałym?...

Rozkochać ją w sobie... za nic w świecie!... Co chwila czuję silniéj, że byłoby to zbrodnią!... Ale czyż koniecznie ma się zakochać?... Dla czego?...

Czyż to ja Don Juan taki... by się pokazać i zwyciężyć?... Zkąd we mnie ta obawa śmieszna?... I jeszcze ona!... ona!... Zresztą wszystko przemawia przeciwko mnie... Kobiéty, jak Marja, kobiéty prawdziwe potrzebują uwielbiać, czuć siłę i wyższość... jam jéj się przedstawił jak moralny kaleka... jak chory rekonwalescent, zraniony i nieszczęśliwy, a więc słaby, niezdolny... zasługujący na litość, ale nie na miłość.

Tak, nie ma niebezpieczeństwa!... Ona mnie pokochać nie może...

Dziwna rzecz!... mówię to prawie z radością.... i chcę wierzyć w to silnie!... Po raz pierwszy pewno od stworzenia świata zdarza się, żeby zakochany z przyjemnością dochodził do przekonania, że ukochana jego wzajemną być nie może!...

To oryginalne... Ha!... jak wszystko w mém położeniu...

Ależ bo to przeświadczenie pozwala mi przynajmniéj widywać ją... Tak!... nie ma niebezpieczeństwa żadnego!... a jeżeli tak jest, byłoby znów szaleństwem z méj strony odmawiać sobie téj rozkoszy jedynéj!... Mój Boże!... wszak przedemną tylko pięć tygodni zaledwie!... Czyż nie mam prawa choć tyle wypić nektaru, ile go bez szkody dla innych wypić mogę... Małoż i tak cierpię!...

Zresztą dla ostrożności potrafię być takim, jakim być powinienem... Będę chłodnym, wesołym, pozytywnym, szyderczym nawet... Jeźli spostrzegę z jéj strony gorętszy objaw sympatji, oziębię go natychmiast...

Jestem szalonym, ale uczciwym!... A co więcéj, Marję kocham całą potęgą méj duszy, i raczéj sto razy me serce rozedrę, jakbym ją miał nieszczęśliwą zrobić... Przysięgam, że uczucie moje nie tryśnie przy niéj ani słowem, ani błyskiem oka, ani drżeniem ręki... Przysięgam sobie samemu, że raczéj serce bym wydarł z piersi i zadusił się własnemi rękami, jak pozwolił wydobyć się krzykowi namiętności...

Wiem, że walka będzie trudna!... wiem, że to trzymanie na wodzy i duszenie tego, czém dusza przepełniona, wymaga siły strasznéj... ale za to widzieć mi ją będzie wolno!... oddychać powietrzem, którém ona oddycha... słyszeć głos jéj srebrny i szelest jéj sukni...

Będziemy przyjaciołmi!...

Przy niej i przy obcych będę bratem Izy, dobrym znajomym, pacjentem zresztą... Gdy żadne oko śledzić mnie nie będzie, w ciemnym kątku salonu lub z pomiędzy cienia drzew, zdaleka... cicho... będę się upajał jéj widokiem i marzył uroczo... Zresztą wszak to tak niedługo!... kilka tygodni!... kilkadziesiąt dni zaledwie!...

W nocy.

Śliczna noc majowa i pierwszy słowik zadzwonił!... Postanowienie, jakie powziąłem, uspokoiło mnie!... Myśl, że jéj mam nie widywać, dręczyła mnie więcéj jak wszystko... Szczęśliwy jestem, żem znalazł sposób ominięcia téj najstraszniejszéj męki... nie popełniając przecież zbrodni!...

Ah! co za noc!... jakie zapachy!... Mieć ją teraz przy sobie, trzymać dłoń jéj w swéj dłoni, czuć jéj głowę na swojém ramieniu i słyszeć cichy jéj oddech... Boże mój!... jakżeż życie jest piękne!...

A jednak niedługo... Ale przecież tam gdzieś... wszak tam się spotkamy!... a jeżeli?... Nie!... nie!... precz odemnie myśl okropna!... Człowiek nie umiera!...

Nad ranem.

Noc całą przesiedziałem w oknie... nie marzyłem... nie myślałem... nie czułem... jéj obraz otulony mgłami majaczył mi przed oczyma... niepewny, idealny... W noc taką człowiek traci poczucie własnéj odrębności... zdaje mu się, że się rozlewa w nieskończoności, że jest zarazem krzewem i gwiazdą... światłem księżyca i wonią kwiatu...

Czyżby to było przeczucie tego, co nas po śmierci czeka?...

Teraz jestem spokojny!... Ostatecznie czegoż więcéj żądać mogę?... Bóg nad grobem pozwolił mi poznać anioła swego... kocham... w około mnie zmartwychwstająca natura, za kilka dni przybędzie tu matka i Iza... kilkanaście więc dni ostatnich przebędę wśród tego, co mi jest najdroższém. Ona... matka... Iza... maj... słońce... zieleń... błękit czysty i noce urocze... miłość pełna uwielbienia w piersi, ciepła atmosfera serc kochających i wiosenne powiewy! Boże mój, o czémże więcéj człowiek marzyć może!...

A potém?... Ah!... znowu to?... oh!... zapomnienia... zapomnienia na dni kilkanaście!...

Dębowo 6 maja.

Trudniejsze to zadanie jakem sądził, ale myślę, żem z niego wyszedł zwycięzko. Kiedym dziś przybył do Słomnik, dość długo nie zeszła do salonu... Bóg widzi, com wycierpiał... Byłoż to karą?... za moje zwłoki, czy rzeczywiście miała tak ważne zajęcie?... Ah! śmieszny znów jestem.. Zawsze o niéj mówię tak, jakbym miał prawo szczególnych od niéj wymagać względów..

Wyglądała prześlicznie, choć była mizerniejszą nieco i choć lekki karmin jéj twarzy zbladł prawie zupełnie. W białéj sukni, smukła, powiewna, zdawała się czemś fantastyczném... Przywitała mnie serdecznie... jak zwykle, ale witając patrzyła się na mnie badawczo...

Mówiłem dużo, unikając przedmiotów poważniejszych. Wierny méj roli paplałem o Warszawie, o plotkach miejskich i t. d. Staruszkowie i przybyli wkrótce po mnie państwo Glińscy z przerosłą córeczką, bawili się doskonale...

Marja po razy kilka ze zdziwieniem spoglądała na mnie i brwi jéj ciemne za każdym razem ściągały się, jakby gniewem czy niecierpliwością...

Jakże mnie te spojrzenia bolały!... W pospolitym dandysie warszawskim nie mogła poznać brata swéj przyjaciołki, złamanego pacjenta swego... Ale obok przykrości, czułem pewną rozkosz . dumę... Sumienie mówiło mi, że spełniam w téj chwili wielką, bolesną powinność... że poświęcam dla jéj spokoju i szczęścia więcéj jak życie, bo... jéj szacunek...

Komedja ta jednak męczyła mnie bardzo i drażniła moje nerwy... No, pierwsza próba zawsze trudna... Wyczekiwałem jak zbawienia sposobności, by módz odpocząć trochę i całą duszą na nią popatrzeć... Wszak to jedno miało być nagrodą wysileń moich... Długo czekać przyszło. Dopiéro gdy światła wniesiono, panna Glińska siadła do fortepianu. Marja przy niéj, żeby jéj nuty przewracać. Starsi państwo zgromadzili się koło stolika, a ja na kozetce w kątku. Z miejsca tego twarz grającéj była zasłonięta zupełnie pulpitem, ale twarz Marji odkryta. Co grano?... jak grano?... nie wiem... cała moja dusza zbiegła się w oczy... po długiém udawaniu mogłem patrzeć na nią swobodnie, z miłością i uwielbieniem... Pokazuje się jednak, że i tego mi nie wolno... Bardzo prędko znać przeczuła magnetyczny wpływ mego wzroku, spojrzenie jéj padło na mnie, lekki rumieniec wystąpił na twarz, potém oczy spuściła i dopiéro głos grającéj proszący o przewrócenie nut zbudził ją z zamyślenia...

Zkąd ten rumieniec?... co znaczy to widoczne zaambarasowanie się spojrzeniem mojém?.... Czyż to gniew?... obrażona duma dziewicza?... Ależ ja patrzałem na nią z rzewném uwielbieniem tylko... ze czcią... Czyżby?... Oh!... strzeż ją Boże!...

Ha!... trudno!... odtąd będę i nad wzrokiem pano-

wał... Jest na to sposób dość pewny... Dość włożyć w jedno oko kukiera, żeby najczulszy wyraz zamienił się w grymas śmieszny i szyderczy!...

Ale na nią patrzeć przez kukiera!... Ha, trudno. Wszystko lepsze, nawet śmieszność w jéj oczach, jak niewidzenie jéj... Ale nie... to za wiele!.. śmiesznym być w jéj oczach?... nigdy!... raczéj złym... przewrotnym... Nie chcę jéj miłości... Wolę umierać nie zakosztowawszy ani chwili rozkoszy, jak łamać jéj życie i serce rozdzierać, ale jednak chciałbym... żeby nie zapomniała zbyt prędko o mnie... chciałbym, żeby troszeczkę cierpiała, żeby choć jedna jéj łezka na grób mój upadła!... Chciałbym w niéj zostawić nie bolesny i rozdzierający obraz kochanka, ale ciche, smętne wspomnienie brata...

Odjeżdżając dość późno gdym się...

(Tu brak kilkunastu lub więcéj stron rękopismu, wyciętych nożyczkami).

5 czerwca.

Ha! stało się!... Jedna jeszcze ofiara!... okropność!... to co dla innych byłoby wejściem do raju, to co każdy wita radością i uniesieniem, to ja przyjmuję z rozpaczą, to na myśl o tém, serce się moje rozdziera a sumienie policzkuje duszę...

Ona mnie kocha!... Ona mnie kocha całą duszą!... całą istotą swoją, tak jak kobiéty takie kochać umieją jedynie...

A za dni siedem ze mnie... trup!...

Marjo!... Marjo!... wstrzymaj się na Boga!... zastanów!... wspomnij!... jam nie wart ciebie!... jam cię oszukiwał!... Myślałaś, że masz przed sobą człowieka z krwi i kości... a ja jestem upiorem!... Sądziłaś żem wolny... a jestem oto najnędzniejszy z niewolników!... Życie moje należy do innego... a ten inny go nie odda... a choćby chciał... jabym go przyjąć nie mógł!... Za dni kilka będziesz wdową!... nie będąc żoną... ten, w którym złożyłaś nadzieję całego życia, będzie samobójcą potępionym!... a ty!... Oh! przekleństwo na mnie!... Nie byłoż uciec po pierwszém widzeniu się!... Wszak wiedziałem co mnie czeka!...

....

A jednak Bóg widzi robiłem wszystko co mogłem, żeby ją oddalić od siebie... Byłem chłodny, traktowałem ją jak obojętną mi osobę, unikałem rozmów drażliwszych, ziębiłem ją nieraz moją ironją i szyderstwem z rzeczy, które dla niéj i dla mnie są święte... Z nadludzką siłą wyśmiewałem często jéj urocze ekstazy, i jedném spojrzeniem lodowatém brutalnie odpłacałem nawet objawy prostéj sympatji!... Potrafiłem być nieznośnym, we własnych przynajmniéj oczach.

Ilem na to sił zużył!... ilem wycierpiał!... Ah! wy co kochacie, co wiecie, jaką rozkoszą jest stawać na piedestale przed ukochaną, pojmiecie co cierpiał człowiek, który musiał właśnie kłamać przed nią, by się oszpecić!...

Ale inaczéj wypadało uciec, wyrzec się jéj widoku... na zawsze!... To było najokropniejsze dla mnie, i nad siły moje!...

Cierpiałem okropnie grając komedję chłodu, przeżycia, braku uczuć i obojętności dla niéj, ale za to mogłem od czasu do czasu popatrzeć na nią całą duszą i bez przymusu... a w chwilach takich zapominałem o wszystkiém... i były one wytchnieniem i rozkoszą moją... Była to słabość, ależ ja umieram za dni kilka!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Z poezji wschodu.

Mędrzec.

W wielkiéj pustyni jam już zdawna siadł,
Gdzie w piaskach wrzących przewija się gad,
Kędy bez świadka gniazdo ściele struś
Kędy gazela na pustyni gra
A tylko orzeł wszystkie drogi zna.
Więc marném słowem mędrca ty nie kuś.
Czego chcesz po mnie? za co czysty zdrój
Mącisz w pustyni i ten pokój mój?
Co cię prowadzi — czy miłość, czy złość?
Jakąś tu drogą zbiegł w pustynię mą?
Ludzkie tu drogi znaczy tylko kość
Oazy tylko żywym zdrojem wrą. —
Czyś ty za gadem pełznął w puszczy głąb,
Znasz jakiéj bieli krokodyla ząb,
Czy nad śnieg bielszy, czy nad ludzką kość,
Dla czego strusiom na pustyni rość,
Czy wiesz co w oczach téj gazeli gra
Co tylko niebo i pustynię zna?
Czyś patrzył kiedy padyszacha skarb?
Perła nieznanéj wielkości jest tam
Ktoby ją ujrzał znaczy w życiu karb
Bo sułtan patrzy na nią z trwogą sam
Gdybyś dwie perły takie same miał
Gdybyś się panem ich obudwu znał
I gdyby Ałłach przez cudowną moc
Perły te skąpał w najczarniejszą noc
W cieniach otchłani najstraszliwszéj ćmy
A potém wydał na gwiazd swoich gry
To czarne perły wziąwszy od gwiazd chrzest
Jeszcze nie byłyby czém oko jest
Lotnéj gazeli. — Więc pytam: czy znasz
Oko gazeli? bo jak w prawdy twarz
Zdołasz ty spojrzeć kiedy mało wiesz
Z tego, co Ałłach stworzył wzdłuż i wszerz
I gdy rozumiesz żeś tutaj jest sam
Panem stworzenia — od stworzenia bram.
Czyś ty lwa zoczył gdy go morzy głód
Kiedy za łupem próżny jego trud?
Wówczas pazury rwie on ziemię mać
Co głodnéj paszczy nie chce żeru dać;
A gdy wygrzebie kocioł w ziemi głąb
I o głaz ostrzy głodem wściekły ząb
Wtedy wydaje taki straszny ryk,
Że człek zbłąkany radby z ziemi znikł.
Bo na wsze strony z kotła idzie głos
I nikt nie zgadnie zkąd upadnie cios.
Na grzywie wówczas jeży mu się włos
Oczy zabiegną prawie żywą krwią
Kipiątkiem boki od chuci mu wrą
A już od trwogi biedni ludzie mrą.
Cóż kiedy z kotła wyskoczy na łup
To zwierz słupieje, człek staje jak słup.
I żywym piersiom znaczy się już grób. —
Czy znasz to wszystko, bo jeżeliś w twarz
Lwa ni gazeli nie utopił wzrok
To jakże stawić ci w pustyni krok,
Jakie świadectwo Bożym prawdom dasz?
To, co cię pali, w piasku wrzącym złóż
I w gwiazdach szukaj ochłody dla dusz
Zaprzej się siebie, milcz na puszczy rok
Potém się przybierz do mądrości ksiąg —
A światło Boże obejmie cię w krąg. —

Wincenty Pol.

Z PRZYRODY.

Siły fizyczne i siła myśli

przez

Johna Tyndall'a.

(Dokończenie.)

Widzicie więc, że, jak to zapowiedziałem na początku, mówię tylko prawdę. Prowadzę więc dalej moje dowodzenia i twierdzę, że w obec nauki każde ciało zwierzęce jest tak samo wynikiem działania siły drobinkowéj, jak łodyga i kłos zboża, kryształ lub cukier. Większa część organów tego ciała jest czysto mechaniczna. Za przykłady w tym razie mogą służyć: serce z jego doskonałym systemem klap, komórek i przedsionków, lub oko ludzkie. Ciepło naturalne ciała zwierzęcego jest téj saméj natury jak to, które powstaje z rozpalonego ogniska i procesy chemiczne wywołujące je, w obu razach są też same. Ruch zwierzęcy pochodzi wprost od przyjmowanych pokarmów, tak jak ruch machiny pochodzi od paliwa umieszczonego w ognisku. Ciało zwierzęce nie stwarza żadnéj materji, żadnéj siły, a dowodem tego, że każdy z nas, chociażby był najbardziéj myślącym, nie jest w stanie, nawet o cal jeden, powiększyć swego wzrostu. Wszystko co powiedzieliśmy o roślinie, da się w zupełności zastosować do zwierząt. I tutaj, również jak w poprzednich razach, siła drobinkowa umieszcza odpowiednio każdą cząsteczkę wchodzącą w skład muskułu, nerwu lub kości. Jeśli więc nie będziemy przypuszczali, że tworzenie się organizmu zwierzęcego nie ma żadnych praw i jest tylko dziełem trafu, możemy z łatwością przyjść do przekonania, że mając wiadomy wzajemny stosunek drobinki ciała z tém co ją otacza, będziemy w możności oznaczyć stanowczo miejsce jakie ona zajmie w organizmie. Nie jakość lecz zawikłanie zadania, stanowi tutaj trudność w wytłomaczeniu go, a trudność ta mogłaby być pokonaną przez proste rozszerzenie się władz umysłowych, jakiemi dziś ludzie są obdarzeni. Mając dane: stopień rozszerzenia się tych władz i niezbędne wiadomości o stopniu działania siły drobinkowéj, możnaby z równą ścisłością i logicznością określić powstawanie kurczęcia w jaju, z jaką dowiedziono istnienia Neptuna i wstrząśnień Uranusa, lub stożkowego odbicia się w teorji falowania światła.

Widzicie więc, że przedstawiam rzeczy tak jak są i śmiało twierdzę, że tak samo je pojmuje większość ludzi uczonych. W ich przekonaniu tworzenie się kryształu, rośliny lub zwierzęcia jest zadaniem czysto mechaniczném, różniącém się od innych podobnego rodzaju, li tylko małością rozmiarów i więcéj zawikłaném działaniem.

Oto jest jedna strona podwójnéj prawdy, o jakiéj mówiliśmy na początku; rozpatrzmy teraz drugą.

Wspólnie z zadziwiającym mechanizmem ciała zwierzęcego, możemy zauważyć istnienie innych objawów, również niezaprzeczonych jak fizyczne; nie jesteśmy jednak w stanie wykryć związku zachodzącego pomiędzy niemi a mechanizmem ciała. Człowiek n. p. może powiedzieć, żo myśli, czuje, kocha; zkądże więc poznanie to wkradło się do naszego zadania? Odpowiadamy na to, że ponieważ uważamy mózg jako główny organ myśli i czucia, dla tego, że odczuwa ból gdy jesteśmy zranieni, myśli i pracuje gdy rozmyślamy, należy więc uważać go jako wprowadzającego w ruch nasze namiętności i skłonności. Określmy to jaśniéj. Sądzę, że wszyscy wielcy myśliciele, którzy zastanawiali się nad tym przedmiotem, zgodzą się na następującą hypotezę: że każdy czyn poznania, czy to w dziedzinie zmysłów czy téż myśli, odpowiada pewnemu określonemu układowi drobinek mózgu, i że ten wzajemny stosunek stanu fizycznego mózgu do poznania, istnieje niezmiennie. Na téj zasadzie mając dany pewien stan drobinkowy mózgu, można z niego wnioskować o odpowiedniéj myśli i przeciwnie, mając daną myśl, można z niéj wnioskować o stanie drobinkowym mózgu. Lecz jak dokonać tego wywodu? W gruncie rzeczy nie jest on przykładem wywodu logicznego; co najwięcéj może być uważanym za przykład empirycznéj łączności. Można wprawdzie odpowiedzieć na to, że wiele wywodów naukowych nosi również cechy empiryzmu, i za przykład tego postawić wywód twierdzący, ze strumień elektryczny obiegający w pewnym danym kierunku, powoduje zboczenia igły magnesowéj również w określonym kierunku. Obadwa jednak te przykłady różnią się między sobą tém, że jeśli nie jesteśmy zdolni udowodnić wpływu strumienia elektrycznego na igłę magnesową, możemy przynajmniéj wyobrazić go sobie, a mam niepłonną nadzieję, że zadanie to zdołamy z czasem rozwiązać mechanicznie. Przeciwnie zaś, nie jesteśmy w możności wyobrazić sobie nawet łączności i przejścia, jakie zachodzą pomiędzy stanem fizycznym mózgu a wynikającemi z niego odpowiedniemi objawami uczuć. Dajmy na to, że pewna oznaczona myśl wywołuje jednocześnie również oznaczony ruch drobinek mózgowych. Wiemy o istnieniu tych dwóch objawów, lecz nie posiadamy a nawet brak nam zupełnie odpowiedniego środka umysłowego, za pomocą którego moglibyśmy, przez rozumowanie, przejść od jednego objawu do drugiego, czyli wynaleść łączącą je drogę. Wiemy, że objawiają się jednocześnie, lecz nie wiemy dla czego się tak dzieje. Gdyby nawet nasza pojętność i zmysły były tak dalece wydoskonalone, tak silne i oświecone, ażebyśmy za ich pomocą mogli widzieć i czuć drobinki mózgowe; gdybyśmy mogli śledzić wszelkie ich poruszenia, grupowania, wyładowania elektryczne, jeśli te mają miejsce; znając z wszelką nawet dokładnością pewien stan drobinek mózgowych, odpowiadający pewnemu danemu stanowi naszych myśli i uczuć; pomimo to wszystko jednak, powiadam, nieskończenie daleko bylibyśmy od stanowczego rozwiązania zajmującego nas zagadnienia, a mianowicie: jaki zachodzi związek pomiędzy stanem fizycznym mózgu a objawami uczuć? Przypuśćmy, że jedno z tych uczuć, n. p. miłości, odpowiada ruchowi śrubowatemu drobinek mózgowych w kierunku na prawo, zaś uczucie nienawiści takiemuż ruchowi, lecz w kierunku odwrotnym, będziemy ztąd tyle tylko wiedzieli, że gdy kochamy ruch ten odbywa się w pewnym wiadomym kierunku, gdy nienawidzimy, to w przeciwnym, lecz dla czego się tak dzieje, to pozostanie dla nas niewyjaśnionèm.

Utrzymując, że wzrost ciała jest mechaniczny, oraz, że istnieje wzajemny stosunek pomiędzy stanem fizycznym naszego mózgu, a uczuciami, zdaje mi się, że określiłem stanowisko materjalistów we wszystkiém co ono zawiera w sobie prawdopodobnego. Sądzę, że teraz każden z nich postawiony w konieczności bronienia swych zasad, będzie mógł ze wskazanego tu stanowiska odpierać do pewnego stopnia wszelkie zarzuty, lecz nie przypuszczam, żeby umysł ludzki, jeśli pozostanie na tym stopniu, na jakim dziś się znajduje, mógł posunąć się daléj. Nie przyznaję również materjalistom prawa twierdzić, że układ drobinek i ich poruszenia tłomaczą wszystko; mogą oni tylko utrzymywać, że istnieje łączność pomiędzy temi dwoma rodzajami objawów, lecz wzajemny ich stosunek jest im zupełnie nieznany. Związek ciała z duchem stanowi niepodobne do rozwią-

zania zagadnienie, tak dziś przy obecnym rozwoju nauk, jak było niemożebném w przeszłości. Wiadomo, że fosfór wchodzi w skład mózgu ludzkiego. Otóż, na téj zasadzie, jeden z uczonych niemieckich stanowczo twierdzi, że „bez fosforu nie ma myśli.“ (Ohne Phosphor kein Gedanke). Może to być prawdą lub nie, w każdym jednak razie, gdybyśmy nawet przypuścili prawdziwość tego twierdzenia,. nie wpłynęłoby to w niczém na rozjaśnienie otaczających nas ciemności. W obu razach materjalista spotyka na krańcach swych dochodzeń nieprzezwyciężone przeszkody. Zapytany zkąd pochodzi materja, kto lub co dzieli ją na drobinki, oraz wywołuje w nich popęd do układania się i łączenia w kształty organiczne? nie będzie w stanie na to odpowiedzieć, i nie dziw, gdyż nawet nauka nie rozwiązuje tych pytań.

Lecz jeśli pokonamy materjalistów, a nauka również pozostanie milczącą, któż odpowie na to pytanie? Komu została powierzoną ta tajemnica? Tu musimy z pokorą uchylić czoła i wyznać, że nic nie wiemy. Być może, że z czasem ta niewiadomość zostanie rozjaśnioną, gdyż wszystko na téj ziemi bezustannie posuwa się naprzód na drodze postępu. A z jakiegokolwiekbądź stanowiska zapatrywać się będziemy na postęp, czy to z naukowego, czy też z teologicznego, czy uważać go będziemy jako wynik stopniowego rozwoju, lub też szeregu gwałtownych wybuchów siły twórczéj, nie będziemy mieli jednak prawa utrzymywać, że obecne zdolności umysłowe człowieka doszły do kresu rozwoju, a postęp doścignął ostatecznych granic. Nadejdzie może czas, w którym otaczająca nas obecnie sfera ultra naukowa stanie się dostępną dla badań. Dwie trzecie promieni słonecznych giną nie wywierając wpływu na oko ludzkie, mimo to jednak istnieją, lecz nie posiadamy organu, któryby był zdolny przetworzyć je w widzialne dla nas światło. Podobnie i w sferze ciemności i tajników umysłowych, zewsząd nas otaczających, istnieją zapewne promienie, oczekujące tylko rozwoju odpowiednich organów umysłowych, ażeby rozświecić w przyszłości naszą wiedzę i uczynić ją wyższą od obecnéj o tyle, o ile ta ostatnia przewyższa rozum płazów, które zaludniały przed wiekami kulę ziemską. Tymczasem jednak tajemniczość nie jest bez pewnych dla nas korzyści. Może ona stać się siłą duszy ludzkiéj; ale będzie to siła mająca za przedmiot uczucie, nie zaś wiedzę; może służyć i mamy nadzieję, że posłuży do podtrzymania, do wzmocnienia umysłowości i do wyprowadzenia człowieka ze stanu słabości duchowéj, w jakiéj pogrążają go bezustannie walka o byt lub chęć wywyższenia się na świecie.

Przegląd literatury zagranicznéj.

Lettres de Joseph Mazzini à Daniel Stern. — Paris 1872. I. vol. in 18.

Smutnym lecz powszechnie znanym jest pewnikiem, że wielka zacność i wielka sława najzagorzalszych mają wrogów, że społeczeństwo mści się zapamiętale na człowieku, który je choć raz zmusił do podziwu.

Jak dwa przeciwne sobie żywioły, tak też znieść się ze sobą nie mogą genjusz i mierność, cnota i egoizm. Walka ta rozpoczęła się w bratobójczych zapasach Abla z Kainem i trwa nieustannie pod rozmaitemi formami, trwa i kończy się zwykle materjalném zwycięztwem Kainów, lecz zasiew boży, zraszany krwią coraz nowych ofiar, wzrasta i przerośnie kiedyś panoszące się chwasty.

Jedną z takich postaci, którą stronnicza bezwzględność stara się w moralnéj wartości poniżyć i w fałszywém postawić świetle, był ś. p. Józef Mazzini. Za życia prześladowały go policje całego świata, nad niezarosłą zaś jego mogiłą stają polityczni przeciwnicy, pomawiając zacnego apostoła wolności i jedności Włoch o nihilizm, materjalizm i tysiączne zbrodnie, które sam Mazzini za życia najżarliwiéj potępiał.

Z przyjemnością przychodzi nam zaznaczyć, iż naprzeciw zuchwałéj czeredy oszczerców stają w obronie Mazziniego dwie kobiéty głośnego imienia, dwie kobiéty różne narodowością.

Pierwsza z nich, Niemka, panna Ludmiła Assing, wystąpiła z obszerną a gruntowną biografją Mazziniego, umieszczoną w XIV zeszycie „Unsere Zeit“ z zeszłego roku, w któréj daje obraz życia i czynów wielkiego bohatera. Druga, Francuzka, pani d'Agoult, znana w literaturze pod pseudonimem Daniela Stern, ogłasza pisane do siebie jego listy, dające wyborną charakterystykę myśli, uczuć i zapatrywań się swego przyjaciela.

Dla czytelnika tych listów, który wyobrażał sobie Mazziniego pod postacią krwiożerczego agitatora, złowrogiego demagoga z trucizną i sztyletem, godzącego nieustannie w istniejący społeczny porządek komunisty, dziwnie brzmieć będą te serdeczne zwierzania się człowieka pełnego delikatnych uczuć, wytwornego smaku i głębokiéj wiedzy.

W listach tych nie znaleść ani śladu pokrewieństwa ich autora z francuzko-włoskim rewolucjonizmem, natomiast dominuje tam spokój i powaga starożytnego demokraty-greka. Idea wolności, któréj Mazzini życie swe poświęcił, góruje nadewszystkiém, wyznawca jéj jednak potępia z niezłomną stanowczością wszystko, coby ją wykolejować i z filozoficznéj wyżyny wyprzeć mogło. Materjalizm uważa Mazzini za najstraszniejszego wroga społecznego porządku i potępia go równie stanowczo, jak wszelki demokratyczny utylitaryzm i nieokreślony humanizm, zacierający pojęcie ojczyzny. Miłość ojczyzny i wolności stały się dla niego niemal dogmatem wiary, jak zaś był przeciwny przesadzie i nadużyciom, to dał dowód wystąpieniem swojém przeciw paryzkiéj komunie w dzienniku „Roma del popolo.“

Powód do korespondencji Mazziniego z p. d'Agoult (Daniel Stern) dała rozprawa téj ostatniéj o Dancie i Goetem, drukowana w „Revue Germanique.“ Pierwsze zatém listy dotyczą niemal wyłącznie tego przedmiotu i dają wyobrażenie o wysokiém filozoficzném wykształceniu ich autora. Szkoda wielka, że listy pani d'Agoult nie mogły być odszukane w papierach Mazziniego.

Dr. Th. Puschmann. Eine psychiatrische Studie über Richard Wagner. — Berlin, 1873. B. Behr's Buchhandlung.

Najzagorzalsi nawet zwolennicy głośnego twórcy muzyki przyszłości przyznają sami, że wygórowana ambicja Wagnera przeradza się w ostatnich czasach w pewien rodzaj obłędu. Autor zaś wyżéj wymienionego studjum utrzymuje, że genjalny kompozytor Nibelungów cierpiący jest psychicznie, a pewne oznaki choroby umysłowéj występują coraz to jawniéj.

„Jeżeli człowiek wysoce utalentowany, mówi Dr. Puschmann, zajmujący poważne stanowisko pośród ludzi stojących u steru społecznego porządku, drwi sobie jawnie z prawideł towarzyskiego życia i obraża bezwzględnie zasady moralne, to zaprzeczyć trudno, że umysł jego podlega kardynalnéj chorobie.“

Za główne symptoma téj choroby uważa autor, który jako lekarz praktyczny i psychiatra - specjalista

powszechnie jest ceniony, spotęgowaną zarozumiałość Wagnera i ową mrzonkę, każącą mu widzieć w każdym człowieku żarliwego prześladowcę. „Ktokolwiek na obu kolanach nie wynosi pod niebiosa wszystko co Wagner napisze i nie powtarza co chwila, że dzieła jego są ostatnim wyrazem sztuki — uważany jest za śmiertelnego wroga', spiskującego z całym narodem Izraela na zgubę kompozytora."

Obok żydów, należą podług mrzoki Wagnera do spisku: muzyczni recenzenci piszący o rzeczach, których nawet nie pojmują, li tylko żeby kalumnjować, i intendantury nadwornych teatrów, które miasto pokornego oczekiwania na to, co z wysokiéj łaski Wagnera dane im będzie, ośmielają się wystawiać opery innych autorów.

Taką jest treść broszury Puschmanna, która pomimo poważnego imienia autora, wydaje się nam nieco przesadną. Trudno się dziwić, że w obec takich zgryźliwych wycieczek, bezspornie genjalny kompozytor traci duchową równowagę i nie przebierając w środkach odwetu, dopuszcza się przesady częstokroć śmiesznéj. Właściwiéj byłoby zapewne, aby Wagner w głębokiém poczuciu swéj wyższości podobne inwektywy przyjmował obojętnie, wszelkie zaś miotania się i utyskiwania zostawił t. z. zapoznanym genjuszom, menerom motłochu i przywódzcom sztucznie potworzonych koterji, służącym małym ambicyjkom i podrzędnym umysłom.

Słuszność każe nam dodać, że Puschmannowe zapatrywania się na Wagnera dzieli wielu cenionych krytyków, a taki n. p. Gumprecht kończy swoje „Wagneriana", drukowane w „National Zeitung", następującemi słowy: „Epidemiczny obłęd nazywa się podług Jacobiego rozumem. Idąc za tém zdaniem, wyobrażają sobie stronnicy Wagnera, że stają w obronie potężnego umysłu, że popierają idee i pomysły wielkiego genjuszu, i torują drogę nowym czasom. W rzeczy samėj zaś, urzeczywistniają oni tylko chorobliwe mrzonki, wylęgłe w dotkniętym chorobą mózgu."

Prof. Franz v. Holtzendorf. Encyklopädie der Rechtswissenschaft. Leipzig 1873, bei Dunker u. Humblot. — 2 Aufl.

O znakomitém tém dziele, wydaném pod kierunkiem prof. Holtzendorfa, przy współudziale fachowych profesorów różnych uniwersytetów, wspomnimy tylko pobieżnie — z jednéj bowiem strony nie wolno nam nużyć obszernym referatem większości niefachowych naszych czytelników, z drugiéj zaś w obec wzmagających się naukowych potrzeb, nie możemy pomijać co najcelniejszych dzieł naukowéj literatury zagranicznéj.

Pierwszy zeszyt pierwszego wydania wyszedł przed trzema laty, obecnie mamy przed sobą całe dzieło, ale już w drugiém wydaniu. Okoliczność ta czyni zbytecznėm wszelkie polecenia i pochwały.

Części składowe, obrobione przez różnych autorów, są następujące: Prawo i prawoznawstwo w ogóle, przez Ahrensa; — Historja rozwoju prawa i źródła prawa rzymskiego, przez Brunsa; — Prawo kanoniczne, przez Hinschiusa; — Prawo niemieckie, przez Brunnera; — Prawo francuzkie, angielskie i normandzkie, przez Brunnera; — Prawo skandynawskie, przez K. Maurera; — Kodyfikacje, przez I. Fr. Behrenda; — Dzisiejsze prawo rzymskie, przez Brunsa; — Niemieckie prawo cywilne, przez Behrenda; — Prawo handlowe, morskie i wekslowe, przez W. Endemanna; — Cywilny kodeks francuzki, przez A. Rivier; — Prawo międzynarodowe, prawo publiczne niemieckie, przez Holtzendorfa; — Prawo kościelne, przez Hinschiusa; — Prawo karne, przez Geyera; — Proces karny, przez Johna; — Proces cywilny, przez L. v. Bara; — Prawo administracyjne, przez C. Mayera. Prócz tego zawiera encyklopedja krótkie rysy praw partykularnych, obowiązujących w rozmaitych państewkach niemieckich.

Oevres de Rabelais, illustrées par Gustave Doré. — Paris, 1873. Garnier frères.

Nowe wydanie dzieł nieśmiertelnego twórcy Pantagruella i Gargantui zaleca się niezmiernym przepychem, wątpimy atoli, czy illustracje zadowolnią wszystkie wymogi przyjaciół i znawców sztuki. Potężny ołówek Dorégo, który obrazując biblję i piekło Dantego, zdobył sobie europejską sławę, stracił już wiele przy ozdabianiu bajek Lafontaina, a obecnie stępił się do niepoznania na szczypiącéj satyrze Meudońskiego proboszcza.

Doré przejmuje się widocznie nierównie głębiéj postaciami ponurych tytanów, surowych prometeuszów, aniżeli wesołych Silenów lub trywialnych kumoszek na publicznym targu. Kreśląc z wewnętrznego poczucia fantastyczne postacie z po za świata, trudno mu jakoś pobratać się z rześką komiką rzeczywistości, z zachodzącym się od śmiechu gallickim humorem. Doré odnajduje prawdę, wielkość i proporcje charakterystyczne raczéj w przedmiotach poważnych, aniżeli wesołych, dla tego téż wydaje się nam, że nie pojął Rabelaigo, który pod maską rozszalałéj wesołości zwykł był ukrywać śmiałą myśl, a pod postacią koturnowéj powagi kręcił bicz najzuchwalszéj satyry. Wyobraźnia Rabelaigo poddawała się raczéj słodkim snom, zmieniającym się jak obrazki w panoramie, nigdy zaś nie gorączkowała pod presją sennych mar i upiorów, jak to przedstawia rysunek Dorégo, kreśląc niemal zawsze istotę powagi tam, gdzie ona jest tylko pozorem, obrazując jakieś ponure skandynawskie mity, tam gdzie skakać powinny figlarne sylfy.

Ta różnica między tekstem a illustracją obniża wartość téj ostatniéj, nadto zaś nie trzeba być skończonym znawcą aby dostrzedz, że postacie Dorégo są jakby wydęte, opchane bawełną, opuchłe, zakatarzone, nienaturalne, pełne pretensji do zrobienia wrażenia — słowem nieodpowiednie swym wybornym pierwowzorom.

Dr. W. M. O.

TEATR.

Zapowiedziana na dochód pani Nowakowskiéj tragedja Mosenthala „Pietra" rozpoczęła szereg przedstawień ubiegłego tygodnia i zatarłaby zupełnie smutną pamięć poprzednich wieczorów, gdyby nie „Skarbonka" i „Młyn djabelski", które zaraz potém nastąpiły, powtarzając się po raz drugi i tuszymy sobie ostatni.

Przedmiot do „Pietry" zaczerpnął autor z bogatéj w tragiczne epizody, historji wojen Gwelfów z Gibellinami, z czasów ostatnich lat panowania Fryderyka II Hohenstauffen, które to czasy opisał najdokładniéj, o ile nam wiadomo, włoski historyk Verci w dziele swojém „Storia degli Ezzelini."

Treści utworu tego podawać nie widzimy potrzeby, jeżeli bowiem streszczanie takie stosowne jest gdy mamy do czynienia ze sztuką zupełnie nową i oryginalną w celu przeprowadzenia z autorem krytycznéj polemiki, to jest ono zupełnie zbyteczne w obec dzieła, które jak n. p. „Pietra" od lat z górą 12 figuruje na repertoarze rozmaitych niemieckich teatrów.

Tragedja, o któréj mowa, nie jest wolną od usterek

nawet elementarnych, zapomina się o nich jednak chętnie w obec zajmującéj, sympatycznéj treści, w obec żwawéj i urozmaiconéj akcji a nadewszystko pysznych form języka, wyrażającego z niezrównaną precyzją zarówno miłosne szepty Pietry i Manfreda, jak rycerski zapał Leonizia; zarówno groźne klątwy i bolesne jęki Tisona, jak szatańską nienawiść Gorella, lub niepokoje szlachetnéj Nory. — Jedyny zbyt wybitny błąd tragedji aby go ogólne korzystne wrażenie zatrzeć mogło, jest przeładowanie jéj patosem, biorącym górę nietylko w rycerskich opowieściach wracającego z pola walki Leonizia, ale nawet w najtragiczniejszych epizodach. Ta Pietra, rzucająca potokami tyrad w ostatnich scenach aktu 5, deklamująca nawet po przebiciu się mieczem na zwłokach Manfreda, nie tworzy bynajmniéj harmonji z potężnie tragiczną sytuacją chwili. Toż samo da się powiedzieć o Manfredzie w scenie wydarcia mu klucza od podziemi (akt IV) i o wielu ustępach, w których autor miasto koncentracji dramatycznego efektu, rozczyniał go frazesami.

Przedstawienie „Pietry" należało pod każdym względem do najlepszych, jakie na scenie naszéj widzieliśmy. Dyrekcja zadała sobie widocznie wiele bardzo pracy i rozwinęła niepospolity zasób znajomości fachu, przeistaczając nędzne łachmany imitujące w niemieckim teatrze dekoracje, na wcale przyzwoitą wystawę. Nowe zupełnie, wykwintne a co ważniejsze autentyczne kostiumy, nadawały całości cechę artystycznego wykończenia, o które p. Sarnecki zawsze usilnie się stara.

Z występujących artystów bezwzględne pierwszeństwo należy się beneficjantce pani Marji Nowakowskiéj. Rola Pietry, którą grała, należy do najtrudniejszych. Sama rutyna wystarczyć tu nie może. Tworząc tę rolę bez wzorów a więc oryginalnie, jak to czynić musiała p. N., trzeba było odszukać, obmyśleć i usystematyzować wszystkie motywa, które na historycznie przygotowanym gruncie wyradzają, krzewią i łamią pierwiastek tragiczny, które w zimnym jak grób łonie Pietry roznieciły płomień namiętnéj miłości, stopiły w niém wypielęgnowaną od kolebki nienawiść i dzikie pragnienie zemsty, aby je potém spotęgować, wynieść po nad wszelkie inne uczucia a w końcu zetrzeć w proch i utopić w szerokim strumieniu krwi, płynącéj z piersi dwojga ludzi, których powinowactwem duszy połączył Bóg, nędzną zaś złością i łudzącym pozorem zdrady rozdzielił i zabił człowiek.

Zgadzamy się zupełnie z metodą, według któréj p. N. stworzyła i upostaciowała Pietrę. Wdzięczni jéj jesteśmy, że nie troszcząc się wybitnie o szablonę zimnéj rutyny, dała nam w Pietrze kobiétę z kości i krwi. Pietra wymanierowana nie miałaby ani połowy téj sympatji, jaką jéj okazała publiczność, Pietra zaś inspirowana poczuciem artystyczném, opromieniona rodzimym zapałem, była zdrowym, realnym typem, którego p. N. szczerze winszujemy.

Piękną i ujmującą jest indywidualność Manfreda. Na idealném, rzewném tle téj natury, uprawianéj z dziecięcych lat delikatną ręką czułéj matki, przy rozkosznéem brzmieniu pieśni trubadurów, zarysowują się dzielne, rycerskie kontury młodego bohatera, któremu nie obcém jest również wojenne rzemiosło, który dzielił niejednokrotnie sławę nieustraszonych Saracenów z Lucerji i zuchwałych Staufenowskich landsknechtów. Głównem zadaniem grającego tę rolę artysty powinno być szczęśliwe pochwycenie i uwydatnienie obu tych cech charakteryzujących Manfreda, tak, aby stając na linji granicznéj między liryzmem a heroizmem, łacno można było robić lekkie przejścia i silniéj uwydatniać pierwszy lub drugi, stósownie do sytuacji.

Wyznać należy, że p. Moszyński, grający Manfreda, zadanie swoje rozumiał i wywiązywał się z niego tak inteligentnie, z takiém przejęciem się, że prócz zbytniego przechylania się na stronę liryczną, nie mamy ważniejszego zarzutu do zaznaczenia. Pod względem zewnętrznéj charakteryzacji zwracamy uwagę p. M., że młodzieńcza piękność Manfreda, że niezwykły wdzięk całéj postaci i stroju, w tragedji, o któréj mówimy, nader ważne zajmują miejsce, nie byłoby zatém obojętne, aby p. M. przy następném przedstawieniu Pietry postarał się troskliwie o to decorum, aby przynajmniéj zaćmić zupełnie blask wdzięków Leonizia.

Ten ostatni znalazł w osobie p. Molskiego zupełnie odpowiedniego przedstawiciela. Wszystko, nawet owa impetyczność głosu i akcji, stanowiąca niekiedy ujemną stronę gry p. M., znalazła w roli Leonizia Dalesmanini nader trafne zastósowanie. P. Molski zrósł się tak szczęśliwie z postacią rycerza „na którego piersiach błyszczy lew gwelficki", że nie wahamy się ani na chwilę przyznać mu wszelkie należne pochwały z wyrażeniem nadziei, że poskromiwszy unoszący go zapał, postara się następnym razem o staranniejsze wycieniowanie pięknego opowiadania wygranéj bitwy „u stóp klasztoru Campese."

O grze p. Grabińskiéj (Nora) niepodobna pisać obszernie, wiadomo bowiem, jak umiejętnie i starannie artystka ta role swoje traktuje. Powiemy więc krótko, że gra jéj nie zostawiła nic do życzenia, że bohaterka jéj na zamku Fonta musiała tak działać i tak wyglądać, jak ona na poznańskiéj scenie.

Pan Grabiński (Tiso hr. Campetri) nie potrafi zepsuć żadnéj roli i z każdego zadania umie wywiązać się rozumnie i z godnością. Tak też było z rolą zapamiętałego starca, naczelnika Gwelfów. Rola to nie wielka, ale ileż to demonicznéj siły wlać trzeba w tę postać, która zemstą tylko i dla zemsty żyje, ile potężnéj zgrozy zaprawia te litanje o morderstwie 4 synów?...

Pan Benda (Gorello) był wcale zadawalniający, więcéj atoli swobody i energji grę jego postawiłoby w korzystniejszém świetle.

Ci panowie z obozu Gibellinów grali widocznie pod wpływem poniesionéj przez swych bohaterów klęski. Owocem takiego — zresztą chwalebnego — przejęcia się sytuacją, która miała miejsce lat temu 600, był jakiś przestrach, pośpiech i zasypywanie się groźnego Alberyka.

* * *

Benefis p. Nowakowskiéj był z kolei trzecim, na którym krzesła i ławki stały pustkami!!!

Czyż pp. Grabińscy, p. Moszyński i p. Nowakowska nie zasłużyli na względy naszéj publiczności? Czyż artyści, którym się winno tyle chwil wesołych i tyle poważniejszych wzruszeń, którzy dla naszéj zabawy i nauki trawią dnie i noce na wyczerpujących studjach mają dostać w odwecie bezduszną obojętność i lekceważenie?

Czyż teatr, do którego chroni się, brutalną ręką ze szkoły wyparta mowa naszych praojców, ma stać osierocony dla tak ważnéj przyczyny, że na Św. Marcinie pokazują tresowane małpy, a na placu działowym inne wielce uczone zwierzęta??

Nie dziwilibyśmy się bynajmniéj, gdyby następni beneficjanci na przypadający dla nich wieczór wystawili na scenie klatkę z szakalem i hyeną — tak jak przestaliśmy się dziwić, że p. Sarnecki dla podtrzymania rywalizacji z cyrkiem p. Salamońskiego, wystawia Icków, Berków i Młyny djabelskie. Trudna rada — sztuka dla publiczności — à chacun selon sa capacité.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE o RZECZACH POLSKICH.

— Przypominamy naszym czytelnikom, iż dnia 12 b. m. ma miejsce benefis dla powszechnie lubionych i cenionych artystów naszego teatru pp. **Liedkego** i **Puchniewskiego**. Miasto zapowiedzianéj komedji „Tricoche i Cacolet", dany będzie spektakl nader urozmaicony, składający się z komedji w 1nym akcie „Tylko jedno słowo" p. Langera — „Miłostki ułanów polskich", komiczna opera w 1nym akcie, oryginalnie napisana przez Cyprjana Godebskiego i komedji Sarneckiego „Nad ranem." Przedstawienie zakończy błękitny mazur z „Halki", odtańczony w 4 pary podług układu jednego z beneficjantów, p. Liedkego.

Należy się spodziewać, że choć ten z kolei 4 benefis będzie miał dobre powodzenie.

* * *

— **Zacharjasiewicz Jan** zamieszcza w Strzesze powieść p. n. „Szczęście kobiéce."

* * *

— Rzeźbiarz-artysta **Syrewicz** wykończył zamówiony przez dwór petersburgski biust Djanny.

* * *

— Dramat konkursowy **Narzymskiego** p. t. „Epidemja" nie znalazł powodzenia w Petersburgu. — Niebawem dramat ten ma być w Wiedniu przedstawiony. (Af krak.)

* * *

— W starożytnym kościele farnym w Nowemmieście, w Prusach Zachodnich, w roku zeszłym odnowionym, zawieszoną jest w znacznéj wysokości pod sklepieniem chorągiew, mająca 20 stóp długości a 10 szerokości, poświęcona pamięci starosty **Jana Działyńskiego**, który wielkie zasługi położył w tamtéj okolicy. Na chorągwi téj, którą ząb czasu znacznie już uszkodził, jest łaciński napis, który z małemi nieznacznemi opuszczeniami brzmi:

„......Jan Działyński zamienił się tu w garść popiołu. — W młodości swojéj kształcił się w krajowych i zagranicznych szkołach i władał trzema językami. Przez pewien czas bawił na dworze Zygmunta IIIgo i był następnie posłem w roku 1620 i 1629. W ówczesnéj wojnie z Turkami dowodził pod sławnym hetmanem Chodkiewiczem oddziałem wojska polskiego. Kiedy Szwedzi do kraju wpadli (podług podania staréj kroniki oblegał król szwedzki Gustaw Adolf w r. 1828 Nowemiasto, otoczone silnym murem, napróżno i został nawet ranny), stawił się najprzód ze swymi współobywatelami mężnie i zawarł z nieprzyjacielem jako pełnomocnik pokój. Był to mąż bardzo pobożny. Trapił swoje ciało postami, sypianiem na gołéj podłodze, włosienicą i biczowaniem. Co sobotę przystępował w kościele przez niego założonym w Łąku do spowiedzi św. i stołu Pańskiego. Założył on ten kościół Reformatów w r. 1524. Przed Wielkanocą zamykał się tu w celi klasztornéj, ażeby się tém lepiéj przysposobić do wielkanocnéj spowiedzi. Odbywał pieszo dalekie pielgrzymki do miejsc świętych. Był zawsze gorliwym obrońcą świętéj religji katolickiéj. Pałał szczególném nabożeństwem do cierpień Jezusa, do najświętszego sakramentu Ołtarza i do N. P. Marji. (Na odwrotnéj stronie chorągwi znajduje się obraz ukrzyżowanego Zbawiciela, nad nim pokazuje się w obłokach ukoronowana Matka Boska; u stóp krzyża klęczy jakaś postać). Z żoną swą Jadwigą Marjanną Czarnowską żył w wzorowéj zgodzie i miłości. Tak nabożny i cnotliwy umarł na zamku swym Bracyan, dnia 17 lipca 1643 r. w 49 roku życia."

* * *

— **Autobiografja** ś. p. **Wincentego Pola**. Zakład narodowy imienia Ossolińskich wydał własnym nakładem sprawozdanie z czynności za lata 1870—1872. Na ostatnich stronach téj książki znajduje się wspomnienie o W. Polu, a w niém autobiografja poety znaleziona w ofiarowaném zakładowi albumie malarza Ksawerego Preka. Powtarzamy dosłownie tę ciekawą autobiografję:

„1807 r. urodziłem się w mieście Lublinie przy Grodzkiéj bramie. Ojciec mój zwał się Franciszek, z Warmji rodem i był radcą wys. trybunału. Matka Eleonora z domu Longchamps, z familji mieszczan, patrycjuszów lwowskich. 1809 r. przyjechałem z rodzicami do Lwowa. 1823 r. straciłem ojca. W tymże roku wysłano mnie na kurs filozofji do ojców jezuitów do Tarnopola. Tam był nauczycielem moim Wiktor Ożarowski. 1826 r. straciłem najukochańszego brata Franciszka, nauczyciela, dobrodzieja. 1827 r. poznałem we Lwowie pannę Kornelję Olszewską u jéj matki. Pokochałem ją. 1828 i 1829 r. napisałem historję epopei, poczynając Homerem a kończąc na nowożytnych epikach. 1830 wyjechałem do Wilna na Litwę, zrobiłem rygorozum w tamtejszym uniwersytecie, złożyłem rozprawę o epopei, otrzymałem stopień uczony i katedrę zastępcy literatury. Z końcem tego roku stałem na czele związku młodzieży, która zrobiła powstanie na Litwie. 1831 r. służyłem wojskowo w powstaniu litewskiém, naprzód w konfederacji akademików, a następnie w 10 pułku ułanów. Otrzymałem ranę i krzyż wojskowy. 1832 r. zostawałem członkiem uczonego towarzystwa niemieckiego w Królewcu pruskim i w Lipsku. Z rozkazu jenerała Bema urządzałem komitety po Niemczech dla emigracji polskiéj i wydałem kilka broszur w tymże roku na rzecz Polski w języku niemieckim. Z końcem roku powróciłem przez Poznańskie do Mostek pod Lwów, a we Lwowie poznałem starego Ksawerego Krasickiego, który się odtąd stał dobrodziejem moim. 1833 r. wydałem pieśni moje w języku polskim: Pieśni Janusza. 1834 r. poznałem Kraków i Józefa Kremera. 1835 r. uczył mnie J. Kremer filozofji Hegla w Zagórzanach. 1836 r. sprowadziłem się do Kalnicy w Sanockie i objąłem zarząd dóbr górskich Ksawerego Krasickiego. Założyłem tam gorzelnię, ogród i porobiłem drogi. 1837 r. pojąłem za żonę pannę Kornelję Olszewską w Mostkach. Począłem pisać jeografję Polski. 1838 r. odbudowałem Ksaweremu Krasickiemu zamek Kmity Piotra w Lesku. 1839 roku urodził mi się syn Wincenty. 1840 osiadam w Bieckiém we wsi Marjampolu za staraniem i pomocą Tadeusza Skrzyńskiego i majora Teofila Łętowskiego w domu własnym. Przyszłość w Bogu.

Do r. 1823 żyłem jak dziecko szczęśliwie. Od śmierci ojca spadły na mnie cierpienia, znienawidziłem ludzi i żyłem w bardzo wielkim niedostatku, samotnie. Ożarowski Wiktor utwierdził mnie w wierze. Brat Franciszek pracował nademną i dał mi naukę, jaką posiadam. Od r. 1830 straciłem zbytnią czułość. 1832 r. począłem pisać pieśni z powodu Adama Mickiewicza a z natchnienia Klaudji Potockiéj. Od poznania starego Krasickiego nabrałem trochę doświadczenia. Od poznania Józefa Kremera trochę ładu w głowie. Żona moja

dała mi spokój i szczęście. Od czasu ożenienia ukołysały się losy moje nieco.

Widzisz tedy kochany panie Ksawery, że wszystko tylko innym winien jestem, a nawet napisanie téj wiadomości o sobie jestem tobie winien. Boleśnie to jest wspomnieć życie tak pełne cierpień jak moje było i można to tylko dla brata-artysty uczynić.

Dnia 7 stycznia 1840, w Zagórzanach.

Wincenty Pol.“

— I Czesi obchodzić będą rocznicę „**Kopernika**. W Pradze, w sali politechniki, będzie odczyt o Koperniku, przyczém współdziałać ma towarzystwo śpiewu Hlahol, a wieczorem nastąpi zabawa w Besedzie mieszczańskiéj. Tak samo zamierzają uświetnić pamięć wielkiego astronoma polskiego w Klatowie, Pardubicach, Przybramie, Taborze, Pisku, Pilznie, Strakonicach i wszystkich znaczniejszych miastach czeskich. Na Morawie w Przerowie czynią takież przygotowania. (Gw. Ciesz.)

POKŁOSIE.

— **Bodineau**, chemik z Bordeaux, uzyskał obecnie patent **na wynalazek nadawania świetnych barw wyrobom ceramicznym**. Polega on na rozpuszczeniu soli metalicznych, lub innych służących do otrzymania kolorów w mowie będących, w wodzie i następném strąceniu osadu za pomocą amonjaku, lub podobnego mu odczynnika. Po dokonaniu tego filtruje się osad dla zupełniejszego oswobodzenia go od płynu i miesza się go z tłuszczami i materjami żywicznemi roztopionemi. Poczém pozostaje tylko otrzymaną ztąd mieszaninę rozprowadzić po wyrobach ceramicznych i utrwalić kolor za pomocą wypalenia w ogniu.

Podajemy niżéj sposoby otrzymania rozmaitych barw drogą wskazaną przez powyższą metodę.

Dla pozyskania barwy żółtéj, używa się azotanu uranu w ilości 30 gramów. Sól ta rozpuszcza się w wodzie i roztwór strąca amoniakiem. Daléj osad przechodzi na filtr dla oddzielenia zeń reszty płynu, a następnie łączy ze 100 granami materji żywicznéj, stopionéj poprzednio w kąpieli piaskowéj. Mieszaninę należy téż nieustannie kłócić bagietką. Gdy tlen przejdzie całkowicie do materji żywicznéj, potrzeba dodać 200 gramów lewandy.

Aby otrzymać kolor ciemno-czerwony, należy użyć 25 gramów azotanu uranu płynnego i takąż ilość azotanu żelaza również w stanie płynnym. Mieszaninę tych dwóch soli należy roztworzyć jak wyżéj w wodzie, strącić amoniakiem i osad przefiltrować. Zmieniając odpowiednio stosunek dwóch tych soli, otrzymać możemy kolory pośrednie, jaśniejsze lub ciemniejsze.

Barwę zieloną zyskuje się podobnie jak żółtą, z tą tylko różnicą, że w końcu opecji potrzeba dodać kilka kropel złota roztworzonego.

Przykłady te dostatecznie z procesem przygotowania kolorów. Co się zaś tyczy sposobów ich utrwalenia na wyrobach ceramicznych, te znane są dobrze specjalistom. Manipulacja zresztą jest dość prostą, kafle piecowe, gzemsy, figury i t. p. wyroby ceramiczne, powlekają się za pomocą pędzla powyższemi barwnikami i przechodzą do pieca, którego ciepło nadaje świetny połysk kolorom. (P. T.)

* * *

— **Kaulbach** pracuje obecnie nad ukończeniem ogromnego kartonu, przeznaczonego na wystawę wiedeńską p. n. „Potop świata.“

* * *

— Bawiący w Kairze misjonarz amerykański Dr. Grant, odkrył **rękopism hebrajski** zawierający ustępy z Biblji, w jednéj z tamecznych synagog, zbudowanéj jeszcze na 45 lat przed powtórném zburzeniem świątyni jerozolimskiéj. Rękopism znaleziony został w niszy, znajdującéj się na stóp 10 nad podłogą w ścianie synagogi.

* * *

— † Dnia 18 stycznia b. r. umarł słynny powieściopisarz angielski **Edward Bulwer-Lytton**.

Skrzynka do listów.

— P. M. R. w „Strzesze“: Sądzimy, że w obecnych stosunkach naszych nie można było lepiéj uczcić pamięci stuletniéj niewoli naszéj, jak obfitém wydawnictwem dzieł poważnych i użytecznych; w piśmiennictwie bowiem odzwierciedla się społeczeństwo. W tym jedynie celu zebraliśmy i wydali nasze dzieło zbiorowe pod tytułem „Stuletniéj Niewoli Rok pierwszy.“ Powtarzamy „Rok pierwszy“, bo pragnęlibyśmy, za pomocą naszych Czytelników i życzliwéj nam publiczności, przeprowadzić to wydawnictwo aż do chwili, gdzieby nam wolno było zamienić powyższy tytuł na „Wolności polskiéj Rok pierwszy“ i t. d. — Co do pojedynczych prac wchodzących w skład naszego dzieła zbiorowego, pozwoli sobie Pan zrobić następujące uwagi: 1) Praca Wołyńskiego o Koperniku, którego jubileusz czterystoletni obchodzić będziemy w drugim roku naszéj stuletniéj niewoli, jest na czasie; 2) Winklera Rzecz o Konfederacjach w ścisłym stoi związku z dziejami naszéj niewoli; 3) Pamiętnik Kalksteina był pisany podczas powstania Kościuszkowskiego, a nareszcie 4) trudno mówić o stuletniéj niewoli, nie wspominając o Książętach Czartoryskich, których autor być może namiętnie i jednostronnie osądził. —

Równocześnie z nami powziął hr. Wł. Plater podobny do naszego projekt, wydając swoje Album Rapperswylskie, pan J. I. Kraszewski miał, jak nam zapewniano, w osobném dziele rozstrząsać sumienie narodowe z wspomnianego powyżéj stulecia. —

* * *

— Do **A. B.** odesłano jeszcze przed Bożém Narodzeniem. **X. X.** raczy odpowiedzieć.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.
W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.